



NIEPAMIĘĆ

Siedemdziesiąt lat milczenia i mówienia o Zagładzie nic nie dało. Dalej jej nie rozumiemy – mówi Maja Kleczewska, która w warszawskim Teatrze Żydowskim wystawiła „Dybuka”.

DAWID KARPIUK

Isaac Bashevis Singer pisał, że w dawnych czasach ulice dzielono na „te” i „tamte”. Plac Grzybowski był z „tych”, czyli z lepszych. Już w XIX wieku kwitł tu handel i drobny przemysł. Działały zakład fotograficzny, sklepy z przyprawami i narzędziami, małe manufaktury. Chasydzi w szabas nosili sztrajmle, po okolicy jeździły tramwaje. W czasie wojny było tu małe getto, zlikwidowane w sierpniu 1942 r.

- W tym miejscu był naród - Maja Kleczewska rozgląda się wokół siebie. Plac Grzybowski tętni dziś życiem. Są tu kawiarnie, jeden z najlepszych klubów muzycznych w Warszawie, są eleganckie ławeczki, fontanny. Ani śladu przeszłości. - Naród był i zniknął - dodaje.

1.

Przed wojną w Warszawie było największe skupisko Żydów w Europie, drugie po Nowym Jorku na świecie. W Teatrze Żydowskim, schowanym przy placu Grzybowski, od 65 lat próbują przypominać ich kulturę. Ostatnio „Dybukiem” Kleczewskiej. To jeden z najlepszych spektakli reżyserki znanej z mocnych, często kontrowersyjnych inscenizacji. Wspólnie z Łukaszem Chotkowskim, reżyserem i dramaturgiem, wystawiali klasykę, wspólnie przekładali na scenę twórczość austriackiej noblistki Elfriede Jelinek. Zdarzały im się spektakle bardzo kontrowersyjne: ostatnio „Szczury” w Teatrze Powszechnym w Warszawie, wcześniej „Oresteja” w Narodowym, której premierę trzeba było opóźnić, bo w trakcie prób zrezygnował jeden z aktorów.

Teraz też zaczęło się od awantury. Krytykom „Dybuk” raczej się spodobał. Ale

nie zabrakło głosów osobnych. Po co mieszać „Dybuka” z Holocaustem? I co tam robi getto? Klasyczny dramat Szymona An-skiego, nazywany „Romeo i Julią” w jidysz, został napisany przed wojną. Może znowu, jak ostatnio szef FBI, chcą Polakom wmawiać współudział w mordowaniu Żydów?

- Można komuś grozić, dyskredytować go, oczerniać bez żadnych konsekwencji. Takie czasy - mówi Łukasz Chotkowski. - W Polsce dalej tematy żydowskie wywołują zbiorową histerię. My nie zajmujemy się winą-niewiną. Zajmujemy się złamanym przymierzem między dwoma narodami.

Dybuk to w tradycji żydowskiej duch zmarłego, który nie może zaznać spokoju. Szuka żywego człowieka, by zawładnąć jego ciałem. W symbolice dybuka chodzi o przywrócenie równowagi, porozumienie ze zmarłymi, z przeszłością, z pamięcią. - O tym właśnie jest ten spektakl - tłumaczy Kleczewska. - O przeżywaniu pamięci. Nie o tym, czy ktoś doniósł, czy nie.

Kleczewska i Chotkowski chcą przywrócić pamięć o Żydach. Przypomnieć, że ledwie kilkadziesiąt lat temu na ulicach wielu polskich miast mówiło się w jidysz, że w Polsce żyły dwa narody, a nie jeden, i to na dodatek cierpiący na amnezję. Akcję swojego „Dybuka” umieszczają więc we współczesnej Warszawie na placu Grzybowski.

- Kości, dusze pomordowanych, na których zbudowano Muranów, domagają się pamięci - podkreśla Chotkowski. - Nie zadośćuczynienia, tylko pamięci. Teatr Żydowski to niesamowite, trochę zapomniane przez Warszawę miejsce, ▶

DYBUK według Szymona An-skiego w reż. Mai Kleczewskiej, zdjęcie z premiery, Warszawa, 17 kwietnia 2015 r.

▶ gdzie kultura, która była częścią tego miasta, a została unicestwiona, wciąż jest żywa. W tym teatrze czujesz dybuki świata, którego już nie ma.

- U An-skiego, zgodnie z tradycją, panna młoda w dniu ślubu idzie na cmentarz zaprosić na wesele zmarłą matkę - ciągnie Kleczewska. - Zapraszasz babcię, dziadka, wszystkich z rodziny. Skoro ta bohaterka zaprasza wszystkich zmarłych, to oni przychodzą. Także ci z getta, także świadkowie zagłady. An-ski powtarza, że życie nagle przerwane, nieprzeżyte do końca, próbuje się jakoś przejawiać. A w kontekście Zagłady mówimy o milionach przerwanych istnień. Trzeba sobie zadać pytanie: jak my z nimi dziś żyjemy? Co to znaczy, że czytamy wspomnienia z getta, a tam są nazwy ulic, po których my dziś na co dzień chodzimy?

2.

Rodzina Chotkowskiego pochodzi z Lublina. Mieli żydowskie korzenie, ale jakimś cudem przetrwali wojnę. Po wojnie po Żydach i ich kulturze nie został ślad. Tak jakby nigdy ich tam nie było. - To było żydowskie miasto, w którym była największa uczelnia talmudyczna na świecie, a dziś w tkance miasta, oprócz Majdanka, który znajduje się na obrzeżach, nie ma nic - tłumaczy Chotkowski. - Żadnych śladów. I nie robi się niczego, żeby przywrócić pamięć o 700 latach wspólnego życia dwóch narodów.

Chotkowski rozmawiał z amerykańską Polonią, z Żydami, którzy wyjechali z Polski w 1968 roku. Wyjeżdżali przekonani, że historia się powtarza. „To znowu idzie” - mówili. Ale tym razem z rąk ludzi, którzy byli ich sąsiadami.

- W każdym są jakieś wstydy, każdy, kto przeżył traumę wojny, ma jakieś niechlubne doświadczenia - mówi Kleczewska. - Ktoś uciekł, ktoś nie pomógł. Przeżyłem wojnę, ale jak ją przeżyłem - tego już nie mogę powiedzieć, tego nie wolno mówić. Ta wina puka spod stołu. Ona jest ukryta w tym, co robiliśmy, w tym, co mogliśmy robić, w tych dobrach, które po nich wzięliśmy, w rzeczach, o których nie potrafimy opowiedzieć.

3.

Przygotowując się do wystawienia „Dybuka”, Kleczewska i Chotkowski pojechali do Auschwitz, rozmawiali z ocalałymi z Holocaustu, obejrzeni „Ciemności skryją ziemię”, przypisywany Hitchcockowi legendarny dokument, nakręcony podczas wyzwala-



MAJA KLECZEWSKA, reżyserka, i dramaturg **Łukasz Chotkowski** chcą swoim „Dybukiem” przywrócić pamięć o Żydach. Warszawa, 7 stycznia 2015 r.

nia obozu w Bergen-Belsen. Przez prawie 70 lat taśmy leżały w archiwach, niepokazywane publicznie. - Widzisz tam klęskę ludzkości, obraz totalnej zagłady człowieczeństwa - mówi Kleczewska. - To jest poza winą. I nagle te rozmowy sprowadzające się do rozliczeń, jakichś kłótni. Kłótnia wobec tego obrazu to jest wstyd. My w ogóle nie dotykamy prawdy o tym wydarzeniu. Tam jest coś tak zagrażającego psychice, że nie możesz na to patrzeć, uciekasz od tego. Potrzebujemy rytuału, żeby sobie poradzić ze śmiercią, z martwym ciałem. Każda kultura wymyśliła jakiś rytuał. Nawet w getcie ciała wywożono wózkami, był to jakiś strzęp rytuału. A w Bergen-Belsen zwłok było tyle, że rytuał już tego nie dźwigał. Nie ma jak oswoić śmierci, nie da się tego pozbyć. I co dalej? Tam jest człowiek skonfrontowany z traumą bez żadnej ochrony, bez żadnej ulgi. Patrzysz prosto w jądro ciemności - mówi Kleczewska.

W tym teatrze czujesz dybuki świata, którego już nie ma

W Auschwitz spotkali ludzi, którzy byli więźniami obozu. Mówili, że wizyty tam to ich obowiązek. Że trzeba przyjeżdżać i o tym mówić, bo inaczej nikt nie zrozumie i wszyscy zapomną. - Jeszcze nie zdążyliśmy tego zrozumieć, a już chcielibyśmy o tym zapomnieć - mówi Kleczewska. - A zapominanie o tym jest bardzo niebezpieczne.

- W 1994 roku w Rwandzie, pół wieku po Zagładzie, w kilka miesięcy zginęło milion ludzi - dodaje Chotkowski. - Dyskusje o tym, kto jest winny, kto niewinny, kto ucierpiał bardziej - powodują, że nie umiemy dotknąć tematu, jakim jest zbrojne ludobójstwo. Pamięć zaczyna być

zabroniona, groźna, obśmiana, unieważniona. Ofiary i kaci w Rwandzie żyją obok siebie. Nie mają prawa o tym mówić. Jest to prawnie usankcjonowane. Siedzisz obok w restauracji z osobą, która zabiła twoją rodzinę, i nie możesz o tym powiedzieć. Specjaliści, którzy są na miejscu, przestrzegają, że to zaraz pęknie. Pod tym milczeniem od dawna już gnije nienawiść.

4.

- Ten teatr to moje miejsce na ziemi - mówi Gołda Tencer, dyrektorka Teatru Żydowskiego, teatru, który zdaniem Kleczewskiej jest, a jakby go nie było. Gołda Tencer przyjechała tu z Łodzi w 1969 r., rok po antysemitycznym szaleństwie. Córka Szmul Tencera, kaletnika, który przeżył Holocaust. - Chodziłam do szkoły żydowskiej, teatr przyjeżdżał do nas co miesiąc - wspomina. - Strasznie mi się to podobało.

Została do dziś. Po 46 latach w teatrze została jego dyrektorką. Wcześniej występowała na scenie, reżyserowała. Od końca lat 80. prowadzi fundację Shalom, od kilkunastu - festiwal Warszawa Singera.

- Nasz teatr to pomnik sześciu milionów zamordowanych Żydów - mówi Tencer. - Chyba nie ma innego miejsca na świecie, w którym mówi się w jidysz. To miejsce tętni życiem, jesteśmy wielką rodziną. Aktorzy przychodzą tu i zostają 20, 30, czasem nawet 40 lat.

Dwadzieścia lat temu Gołda Tencer ogłosiła apel o przysyłanie zdjęć Żydów z całego świata. Ludzie mówili, że nic z tego nie będzie. Dziś zdjęć jest ponad dziewięć tysięcy. Teraz Tencer ma marzenie, żeby w każdym mieście i miasteczku, w którym kiedyś żyli Żydzi, raz w roku zapalano płomień pamięci. - Naród poszedł z dymem w krematorium, ale kultura przetrwała - tłumaczy. - Ojczyzną Żydów jest pamięć. O pamięci jest też „Dybuk”. I o niepamięci. O miłości, o tradycji. Przede wszystkim o czasie, który gdzieś się zatrzymał.

Kilka dni przed premierą Kleczewska zaproponowała jej, by w czasie spektaklu opowiedziała o swoim ojcu.

- Tata miał numer obozowy 128266 - mówi Tencer. - Przed wojną miał żonę i córkę, też Gołdę. Obie zginęły. Dopiero niedawno zdałam sobie sprawę, że ona była moją siostrą. Myśmy nie mieli babć, cioc, wujków. Do tej pory w święta do stołu siada niewiele osób. Mamy małe rodziny. Parę lat temu zadzwoniła do mnie pani z Siedlec. Mówi, że przeszukując dokumenty, natknęła się na nazwisko Tencer. Przesłała je mnie i bratu. Z tych dokumentów dowiedziałam się, że nasz tata miał sześcioro rodzeństwa, tam były ich imiona: Leja, Mara... Tata nigdy o nich nie mówił. Moja rodzina jakby się powiększyła.

5.

Jerzy Walczak, aktor związany z Teatrem Żydowskim od 1980 roku, też szukał swojej rodziny. - Byłem najmłodszy, opiekowałem się osobami, które umierały: ciociami,

wujkami - opowiada Walczak. - Któregoś razu, może 15 lat temu, próbowałem zrobić drzewo genealogiczne mojej rodziny. Okazało się, że to nie byli żadni wujkowie, żadne ciocie. To byli znajomi mojej mamy. Nie miałem ani cioc, ani wujków. Jedyną rodziną były babcia i mama. I kuzynka, która mieszka w Niemczech. Zostaliśmy sami. Wcześniej nigdy nie zastanawiałem się nad moim pochodzeniem. Nie miało znaczenia. Teraz chyba ma.

O spotkaniu z Kleczewską mówi: niezwykle, bardzo ważne. - Pracując z nią, wiele rzeczy mówiliśmy po raz pierwszy - zamyśla się. W Teatrze Żydowskim zagrał w kilkunastu spektaklach. Mówi, że w to miejsce się wsiąka. - Kulturę żydowską tworzą niedobitki. To, co wydarzyło się w czasie wojny i potem, po wojnie, nie zostało do końca rozliczone. Może dlatego widzowie oczekują folkloru, liczą, że przyjdą do Teatru Żydowskiego i będą mogli się śmiać, bawić - zastanawia się Walczak. - Może nie chcą, żebyśmy zada-

wali pytania. A trzeba je zadawać uporczywie, liczyć, że coś się może zmienić.

- My jesteśmy na zerowym etapie rozmowy o Zagładzie - przekonuje Maja Kleczewska. - Siedemdziesiąt lat mówienia i milczenia o Zagładzie nie przyniosło niczego. Wielu świadków Zagłady mieszka dziś w USA. Mówią, że nie są w stanie nawet przyjechać do Europy. To jest kontynent, który spłynął krwią, nie ma na to antidotum. Nie da się tego zaleczyć. Stąd te uciezkowe reakcje są jakoś zrozumiałe. Ale minęło 70 lat. Może już dość tego uciekania.

- W Polsce jest wielu wspaniałych ludzi, którzy bardzo dużo robią - mówi na koniec Jerzy Walczak. - Profesor Bartoszewski był kimś takim. Można się przymierzać do wybaczenia, ale to jest strasznie trudne. Ta sprawa nie jest załatwiona i chyba nigdy nie będzie. Świat o tym zapomni.



Napisz do autora
dawid.karpiuk@newsweek.pl